

Z cyklu „Zygzak na marginesie”

Trafione w Maciąga

Tekst: Michał Wierusz-Kowalski

Foto: Antoni de Bradé

Cytując słynną wypowiedź inżyniera Mamonia, polecę po bandzie – „Proszę pana, ja jestem umysł ścisły. Mnie się podobają melodie, które już raz słyszałem. Po prostu. No... To... Poprzez... No reminiscencję. No jakże może podobać mi się piosenka, którą pierwszy raz słyszę”. Więc przykładowo ten „Rejs” to widziałem jakieś ze sześć, a nawet może ze siedem razy, bo warto odświeżać znajomość klasyki. Rzecz jednak nie dotyczy muzyki czy filmu, a literatury. Dołączyłem właśnie do elitarnego grona Kowalskich, którzy przeczytali jedną książkę rocznie. Od deski do deski łyknałem świeżą buleczkę pt. „Nie był malarzem koni” pióra Piotra Dzieciotłowskiego, upieczoną przez wydawnictwo Rosa PP.

Nietypowa biografia Ludwika Maciąga. Bez chronologicznego zadęcia. Niby ni z kija, ni z pietruszki odzywają się rozmaici ludzie, niezwykle prostolinijnie i realistycznie przywołując pewne fakty, anegdoty, zdarzenia z życia Profesora. Wspaniała, bo zupełnie nieuciążliwa lektura – nie cegła, nie zawiesziste, ciężkie dzieło, siłące się na wiekopomną encyklopedyczną perfekcję, obarczone upiornością schematów, przypisów, diagramów, do których kategoriycznie nie pasowała osoba Maciąga; czyli autentycznie lekkiego bytu, pięknie swobodnego, na wskroś wolnego naszego Lulu (jak zwykły pieszczołtliwie nazywać Maciąga, notabene ku jego nieskrywanej irytacji, zgrywas Andrzej Grzybowski, kiedy przesiadywali na pogaduchach w gościnnych progach domu dyrektorstwa Krzyształowiczów). Maciąga – totalne zaprzeczenie urzędnika w czarnym tużurku i czarnych zarękwkach, żeby się przypadkiem nie ubrudzić farbami... Znakomita książeczka (na marginesie – również za sprawą udanego



Spotkanie autorskie poświęcone biografii Ludwika Maciąga przedstawiające zgromadzonych gości prowadzących dysputę (siedzą kolejno od prawej: Mariusz Krzemiński, Agnieszka Kowalska, Piotr Dzieciotłowski, prof. Stanisław Baj, Michał Wierusz-Kowalski)

projektu okładki autorstwa Malwiny de Bradé, kreacji inspirowanej ascetycznym obrazem olejnym pędzla samego Pana Profesora, „Konie w śnieżycy”). *Chapeau bas* dla Dzieciotłowskiego, że sięgnął po zdałoby się prosty zabieg redakcyjny, gotujący jednak taką prawdę o Ludwiku, jaką Ludwik potrafił oddawać w swoich pracach. Czy to na płótnie, papierze bądź w formie gobelinów, gęsto dedykowanych ukochanym koniom i otaczającej go nadbużańskiej przyrodzie. Wracając do sedna – miłe, szczerze i szczęśliwie krótkie opowiadania (godne podkreślenia w dobie awersji do słowa pisanego) – sympatyczne 170 stron do przeczytania za pierwszym podejściem.

Był prawdziwy, ale nie prawdziwym. Był postacią nietuzinkową, zdecydowanie inną, rozróżnialną w swojej sztuce, oryginalnej aktywności twórczej,

absolutnie niebanalną. Nigdy i niczego nie robił pod publiczność – wszystko płynęło z głębi serca. Ze świecą dzisiaj szukać tak nieskomercjalizowanych ludzi. Od A do Z – w ubraniu, stylu noszenia się, zachowaniu; w tym bereciku, okularkach, przesłanych od brata z Anglii *battle dressach* (ciepłych, dobrze skrojonych, brązowo-pastelowych mundurach), oficerskich butach z wysokimi cholewami (dla fasonu podbitych blachą, żeby stukotem zadawały szyku) – po prostu wypisz wymaluj partyzant – koniarz.

Dawał się lubić. Z jednej strony szorstki, czerstwy, prząsny, czasem powściągliwy, ale i zarazem urokliwy, emanujący pogodą, nieskrępowany głupio pojętymi konwenansami, o niewymuszonej charyzmie, nieskażony mdłym wyrachowaniem – nic nie miał Ludwik ze sztywnego nauczyciela i wykładowcy 🐾

akademickiego. Zaiste to między innymi sprawiło, że ludzie do niego (młodzi, starzy, kobiety, mężczyźni) lgnęli na potęgę i łaknęli jego przyjaźni. Do rany przyłóż – drzewiej mawiano o kimś cudownym. Jednocześnie silny charakter, zahartowany w boju, wierny swym przekonaniom, momentami wręcz niezjednany, szczególnie jeśli bronił własnej wizji świata. Nie do kupienia czy sprzedania – wróg taniej prostytucji, której wielu z jego pokolenia uległo w konfrontacji z PRL-em. Zawsze chodził po słonecznej stronie ulicy – nigdy dla kariery nie zapisałby się do ZMP (nie tylko z racji metryki) bądź PZPR. Zapamiętałe oddany przedwojennym obyczajom, z rysem AK-owskim, dumny przedstawiciel rodu polskich patriotów. Nic więc dziwnego, że każde spotkanie towarzyskie stawało się pretekstem do odkurzenia wspomnień z okresu walk pod wodzą mitycznego Zenona (Stefana Wyrzykowskiego – przyp. red). Tęsknił Maciąg, pseudonim Sas, do swego 34. Pułku Piechoty i podlaskiego żołnierskiego znoju. Czuło się w narracji Ludwika gorącą miłość do tych przeszłych dni, ale bez pozy i pozerstwa, słabości do lansu i popisywania się – literalnie wszystko z duszy uczciwego, rzetelnego, solidnego, przedwojennego chowu faceta.

A jakie było malarstwo Maciąga? „Swoisty fenomen” – bez sekundy namysłu konstatuje Andrzej Novak-Zempliński, bliski wychowanek profesora. I dodaje: „(...) miał przebogaty warsztat, a świadomie – z premedytacją jakoby na przekór socrealizmowi oraz tak zwanej bohémie ASP, środowiska kolegów zawistników – wybrał szalenie prosty język wypowiedzi artystycznej”. To przemawiało do wyobraźni widzów. Bynajmniej nie tylko sympatyków koni pogrubionych, średniowiecznych rycerskich siłaczy, z rozłupanymi wielkimi zadami o rubensowskich liniach i proporcjach. Zawsze w kaskadach gęstych ogonów, puszystych długich grzyw, niczym wodospadów, błyszczącej w świetle księżycy sierści, zatrzymującej refleksy lustrzanych snopów, w aurze tajemniczości, niejednoznaczności

uplastycznienia lub trafionej bez pudła akurattości. Mistrz pędzla – surowy, ale i sprawiedliwy – w którego dorobku nie odnajdziemy szpanu, szmirowatego snobizmu, dętej manieryczności. Bez wciągniętego brzucha, zapiętej pod szyję koszuli, wypucowanych na glans pantofli, krawata wiązanego na oksfordzką modłę. Bliżej mu było do Józefa Brandta niż do Jana Rosena. Po prostu Lulu dawał radę żyć i wolał opisywać otaczającą go rzeczywistość

rozmawiać, podczas wernisażu jego ucznia Macieja Falkiewicza, po plenerze uwieczniającym pastwiska ukochanej stadniny w Janowie Podlaskim (niebawem świętować będziemy 200 rocznicę jej założenia! – przyp. red.) – „(...) lubię jeść; więc czy jest to pieczeń husarska, czy tort hiszpański, lubię obie te potrawy; przecież jedno nie wyklucza drugiego; nawet nie zawstydzę mnie fakt, iż chętnie golonkę poprawiam ptysiem...” Tak i z konsumpcją sztuki.



Do mikrofonu mówi Andrzej Grzybowski – aktor, architekt, alchemik kultury hipologicznej – prywatnie przyjaciel Ludwika Maciąga, zaraz za nim (po lewej stronie) siedzi Andrzej Novak-Zempliński – artysta malarz, twórca i gospodarz Dworu Tułowice, wychowanek śp. profesora Maciąga.

bez *mail coachów* oraz przyległego im protokołu dyplomatycznego. Dla niego atrakcyjniejsza była spontaniczna galopada co tchu w piersiach wśród badyli, burzanów i chabazi niżli paradny kłus à la pasaż wzdłuż strzyżonych parterów Wersalu (bukszpanowych żywopłotów w barokowych rezydencjach). Jego bardziej podniecała estetyka Brandtowska niż cyzelowany sznyt Juliusza Kossaka, choć cenil i tego, i tego. Miał szacunek dla każdej sztuki, co obrazowo spuentował kiedyś – gdy raz jedyny miałem osobistą okazję z nim

Chciał Piotr zdążyć z napisaniem tej książeczki na siódmą rocznicę śmierci Profesora. I zdążył (tutaj niskie ukłony w stronę dobrego ducha, prof. Stanisława Baja, który nie pozwolił choćby na chwilę Piotrowi zwątpić). Gdyby jego bohater, wybitny pejzażysta i batalista, nie odszedł 7 sierpnia 2007 roku, miałby dzisiaj 95 lat i z pewnością docenił fachową robotę swego biografą. Doczekałby Piotr poufałego gestu uznania, jakim Profesor niezwykle rzadko i nielicznych zaszczycał – poklepania po ramieniu, na znak *Well done Mr. Dzięciołowski, well done!* 🐎